

Świat bez Yeti

Na zarośniętych ścieżkach...

Najzupełniej przypadkowo na jednym z portali internetowych znalazłem krótką wzmiankę. Wynikało z niej, że po latach domysłów i podejrzeń, snucia teorii i tworzenia hipotez, ścierania się przeróżnych opinii - rozwiązano zagadkę yeti. Dokonał tego japoński himalaista, który ponad dekadę swego życia poświęcił na wyjaśnienie, kim jest ów tajemniczy stwór.

Piękna sprawa - powie ktoś - już nie musimy się domyślać, teraz wreszcie wiemy. To nie byle co, bowiem pierwsze wzmianki o yeti pojawiły się w XIX wieku, a popularność owego stworzenia wzrosła gwałtownie w latach pięćdziesiątych wieku następnego, gdy na jednym z himalajskich lodowców odkryto ślady wielkich stóp. Wtedy to nabrała mocy legenda o tajemniczym śnieżnym człowieku, który zamieszkuje odległe partie gór, z dala od swych cywilizowanych braci. Mnożyły się doniesienia świadków, ten i ów widział ponoć, jak yeti znika w śnieżno-lodowych pustkowiach, inny tylko słyszał o nim od starych mieszkańców okolicy - "kiedyś, panie, to yeti często można było spotkać, nie to co teraz".

Ale konkretów było mało - a nasza cywilizacja bez konkretów się nie obejdzie. Chciałaby takiego yeti zobaczyć, zmierzyć, zważyć, zrobić mu fotografię en face i z profilu, pobrać odciski palców, prześwietlić promieniami rentgenowskimi, umieścić w izolatce, podać zestaw odżywek i witamin, a następnie obserwować, jak osobnik rośnie tudzież maleje. A to dopiero początek - później byłyby kongresy naukowe o yeti, dziennikarskie dywagacje ("Co yeti sądzi o wojnie w Iraku?"), muzea i szkolne wycieczki. Tymczasem yeti ani myślał się ujawnić. Przez wiele lat sprytnie unikał kontaktu z ludźmi, kpiąc w żywe oczy z naszej ciekawskiej cywilizacji. Pozostał bliżej nieokreślonym zwierzoczkoupiorem, że pozwolę sobie zapożyczyć termin od Tadeusza Konwickiego.

Dopiero dzielny Japończyk przerwał ten marazm w dziedzinie naukowych po(d)stępów. Zbadał, sprawdził, zasięgnął języka, pomyszkował po górach - i wyszło mu, że yeti to po prostu niedźwiedź. To nie pomyłka: najzwyczajniejszy w świecie niedźwiedź. Żaden tam śnieżny człowiek, żaden stwór dziwny, lecz poczciwy miś, znany światowej nauce od dawien dawna, opisany w tysiącach rozpraw. Jak stwierdził wścibski Japończyk, słówko yeti to fonetyczna deformacja tybetańskiego określenia meti, oznaczającego niedźwiedzia brunatnego. W dodatku w chacie pewnego Szerpy natknął się nasz badacz na zasuszone łapy i głowę owego meti, zachowane jako talizman - nie muszę już dodawać, że były to szczątki zwykłego niedźwiedzia.

Choć w tym miejscu historia mogłaby się skończyć, to dla mnie nie jest to takie proste. Albowiem "skończyły się żarty, a zaczęły się schody" - jak mawiał generał Bolesław Wieniawa-Długoszowski (wieloletni adiutant marszałka Piłsudskiego) opuszczając nad ranem warszawski lokal restauracyjno-rozrywkowy "Adria". Powiem krótko i bez zbędnych ceregieli: szkoda mi yeti. Szkoda mi kolejnego ubytku w zbiorowej wyobraźni, szkoda aury tajemnicy związanej z tym - pardon - niedźwiedziem. Gdy jedni mówią o triumfie nauki i myślenia racjonalnego, ja żałuję, iż padł kolejny bastion przyrodniczej tajemnicy. Wydarto Naturze następny sekret i rozmieniono go na drobne - zamiast owianego legendą śnieżnego człowieka mamy już tylko zwykłego niedźwiedzia, po łacinie *Ursus arctos*. Mędrca szkiełko i oko znów góruje nad ciemnotą, zabobonem i gminną fantazją.

Już niedługo nie ostanie się ani jeden nierozpoznany gatunek, ani jeden skrawek łądu nienaznaczony stopą badacza. Wszystko pomierzą, wyliczą, sklasyfikują i nadadzą łacińskie nazwy. Opublikują monografie, utworzą katedry i instytuty, będą się doktoryzować i habilitować. I jak to bywa w

przypowieściach z happy endem, wszyscy będą żyli długo i szczęśliwie. W sterylnej, jałowej i nudnej jak flaki z olejem gąbłotce, zwanej cywilizacją naukowo-techniczną.
I tylko yeti żal...

Remigiusz Okraska